№ 37. Warszawa, dnia 31 Sierpnia (12 Września) 1889 r. Rok XXV

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

**Prenumerata w Warszawie.**
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
**Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:**
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

# POGAWĘDKA.

Najważniejsza w ostatnich czasach dla rolników naszych kwestya spłacenia raty, należnej Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu została ostatecznie rozwiązaną w ten sposób, jaki za jedynie możliwy uważano w danych warunkach; lepiej obznajomieni z ustawą i finansowemi stosunkami naszej ziemiańskiej instytucyi przepowiadali taki koniec jeszcze przed kilku tygodniami.

Ogólne zwolnienie wszystkich bez względu dłużników od obowiązku zapłacenia raty w przypadającym terminie, umorzenie jej zupełne, lub rozłożenie na cały szereg lat, jak tego niektórzy żądali, okazało się i z ustawą niezgodnem i niebezpiecznem dla interessów Towarzystwa; zatem, uwzględniając ciężkie warunki sytuacyi, brak gotówki i dotkliwe zawody w gospodarstwach rolnych, postanowiono: wobec nieurodzajów w rozmaitych okolicach Królestwa, na podstawie już istniejącej procedury dawać ulgi członkom, towarzystwa ubiegającym się o to i mogącym wykazać, że ponieśli rzeczywiste straty.

Dyrekcya główna po zbadaniu przez swoich delegatów prawdziwego stanu majątkowego i tegorocznych urodzajów u każdego z petentów, jakoteż po zbadaniu, oile fundusze Towarzystwa straty ziemian owych pokryć pozwolą, udzieli żądanych ulg w spłaceniu raty jesiennej, w żadnym jednak razie w takich rozmiarach i nie na takie termina, jak to w niektórych pismach przypuszczano.

Do sprawdzania wnoszonych podań delegatów wyznaczać będzie dyrekcya główna, nie zaś dyrekcye szczegółowe.

Oto jest *maximum* tego, co władze Towarzystwa Kredytowego po zbadaniu sprawy i przeprowadzonych naradach zrobić dla ziemian mogą; nie wszyscy będą z tego zadowoleni, nie wszystkim ten środek wystarczy, a dla wielu katastrofę ostateczną przewlecze tylko, lecz nie usunie; ale cóż począć, kiedy innego wyjścia znaleźć się nie dało!...

Pomimo najlepszych chęci i kręcenia głową na wszystkie strony, musiało towarzystwo poprzestać na środku, przy którym i wilk sytym nie będzie i owca całą nie zostanie; zawsze jednak pewna część się wyratuje z wielkiego kłopotu i nie padnie ofiarą lichwy lub subhastacyi...

Bądź co bądź, zyskuje się na czasie.

Co zaś będzie potem, co dalej będzie, to przyszłość dopiero rozstrzygnie, która przynosi nieraz najmniej spodziewane rozwiązania.

Rolnicy nasi uznali konieczność podpierania swoich gospodarstw rozmaitemi gałęziami przemysłu i oile mogą, robią już to w miarę środków.

Przed paru laty, zaczęło zwracać uwagę naszych ziemian na korzyści, jakieby im przynosić mogła racyonalna uprawa chmielu. Wykazywano na liczbach możliwe zyski i dochody, przekonywano o praktyczności tej uprawy i zachęcano bardzo gorąco do założenia spółki chmielarskiej.

Obecnie z dziedziny dyskussyi teoretycznej po dziennikach i na posiedzeniach głównych propagatorów tej sprawy kwestya wchodzi na drogę doświadczalną.

W dniu 25-go b. m. rozpoczyna się w Warszawie pierwszy dziesięciodniowy jarmark na chmiel.

Zobaczymy, jak się powiodą tranzakcye, ilu zgłosi się dostawców, ilu kupców, jakie ceny da się osiągnąć przy hurtownej sprzedaży: a od powodzenia tego pierwszego targu zależeć będzie w znacznej części dalszy rozwój kwestyi chmielarskiej u nas, po której rzeczoznawcy wiele pożytku obiecują plantatorom.

Dobrzeby to było, aby praktyka stwierdziła teoryą, aby nasi ziemianie chmielarskiemi tykami zgarnęli trochę więcej grosza i podparli swoje uszczuplone dochody z ziemi.

Nie po raz pierwszy zwracano na to uwagę, że pod względem ekonomicznym zamało rozwijamy naszę działalność i że pomimo tak bardzo zmienionych warunków, nie przestajemy być zawsze i przedewszystkiem tylko krajem rolniczym, chociaż coraz trudniej przychodzi nam utrzymać się z samej gospodarki rolnej i coraz większą konkurrencyą naszemu zbożu robi zagranica.

Ztąd skutki bardzo łatwo widoczne; każdy większy nieurodzaj jest dla nas klęską, bo, żyjąc tylko z tego chleba, które daje nam ziemia, musimy głód cierpieć, gdy którego roku nasza karmicielka nam go odmówi.

W ostatnim numerze „Kraju“ znalazłem w tej kwestyi artykuł wstępny, godny poznania i streszczający nam sytuacyą w sposób bardzo trzeźwy i, niestety, bardzo prawdziwy.

„Jesteśmy biedacy, zawsze niepewni jutra — powiada autor — bo do-dziś-dnia nie byliśmy w stanie zrozumieć pewnika, objawionego niegdyś jeszcze przez Józefa patryarchę Faraonowi egipskiemu. Po latach tłustych muszą kiedyś nadejść chude; rozumny oszczędza i bogactwa gromadzi“.

Nie umieliśmy tego robić i teraz klęska żywiołowa zastaje nas bezbronnych; z ogólnego zaś ukształtowania stosunków ekonomicznych nieurodzaj jest dla nas głodem.

Gdzieindziej, np. we Francyi, jest inaczej; tam przez lat kilku filoxera niszczyła winnice, główne źródło dochodów rolnika, a mimo to kraj ten nie upadał, głodu nie cierpiał, kredytu nie tracił, podatków nie zniżał i robót publicznych nie zaprzestawał.

Nie trzeba myśleć, że przyczyną tej różnicy jest tu tylko samo większe bogactwo przyrodzone

Francyi. Wcale nie. Niedołęga umrzeć może z głodu na worku kaszy.

Nam, jak zawsze, brak ducha przedsiębiorczości, brak energii i pomysłów, brak inicyatywy rozumnej i praktycznej. Nie można nawet powiedzieć, aby nam tak bardzo brakło kapitałów i kapitalistów; są one, tylko kryją się trwożnie lub leniwie, boją się ryzyka i większego ruchu. Wielka to prawda, że kredyt użyty nie na produkcyą, w większości wypadków jest szkodliwem marnowaniem grosza i że u nas o ten kredyt trudniej przemysłowcowi, który się dopiero wybija, niż utracyuszowi, który dyskontuje weksel, nie targując się o procent.

U nas też dzieje się najwięcej tak, że jedną dziurą łata się drugą większą, pożycza się na to, aby umorzyć dawniejszy dług, a przynajmniej opłacić jego procenta, które rosną nieproporcyonalnie do dochodów i do kapitałów obrotowych; cóż dziwnego, że po takiej spadzistej drodze idzie się ku bankructwu, ku ruinie.

Nie może być inaczej, skoro rolnik np. musi opłacać dwa i trzy razy większy procent od swoich długów, aniżeli mu ziemia w najlepszych warunkach zysku dać może.

Tosamo zdarza się w dziedzinie przemysłu i innych przedsiębiorstw.

Ludzi przybywa, a stosunkowo źródła dochodu bardzo mało się pomnażają i zwiększają. Na każdym kroku niemal możnaby nam wytykać dawno zakorzenione wady, z których wcale nic, albo bardzo mało umiemy się naprawiać; narzekamy na ciężkie czasy, a pozwalamy w tychsamych ciężkich dla nas czasach, tuż pod bokiem, robić dobre interessa cudzoziemcom na naszym gruncie; zawsze brak nam w najważniejszych kierunkach ludzi praktycznych, zawodowo wykształconych, wytrwałych i energicznych, którzyby umieli iść na przebój z rutyną, zacofaniem, niedołęztwem i obskurantyzmem, którzyby potrafili przykładem swoim zachęcać i ośmielać innych.

Charakterystycznem jest, że u nas to jedną z najzdrowszych maxym klassycznego świata: *audaces fortuna juvat*, przetłómaczono małodusznie: „śmiałków psy gryzą,“ kiedy nieprawda, aby człowiek odważny, śmiały i pewny siebie nie mógł nigdy dojść do zamierzonego celu, jeżeli sobie i z owemi „psami“ poradzić umie...

Nie wiem, czy uważać mam za objaw budzącej się przedsiębiorczości w nowym kierunku dwa fakta, które zapowiedziały pisma codzienne, a mianowicie zawiązanie spółki, pragnącej wydzierżawić Wisłę pod Warszawą i drugie *consortium*, zamierzające zbudować dużą panoramę w Warszawie na wzór Paryża, Wiednia i innych wielkich stolic.

W każdym razie notuję te dwa projekta z obowiązku kronikarza.

Przedsiębiorcy pierwszy kategoryi wnieśli do zarządu miasta podanie z propozycyą wzięcia w dzierżawę „rzek naszych królowę;“ za pewną kwotę, uiszczaną rocznie i za obowiązek utrzymywania brzegów wiślanych żądają przyznania sobie prawa pobierania opłaty od wszystkich statków, berlinek, tratew i łodzi, przepływających przestrzeń między mostem kolejowym a łachą przy Saskiej Kępie. Od rybaków i piaskarzy również mają pobierać pewne sumy, oznaczyć się mające według z góry unormowanej taxy.

Nie rozumiem, na czem właściwie ma polegać dla miasta korzyść z takiej prywatnej dzierżawy; jeżeli chodzi o podniesienie cyfry *plusów* w budżecie miejskim, to władze miejskie bez udziału prywatnych dzierżawców mogą to zrobić, nie potrzebując się dzielić swym zyskiem. Nałożenie zaś haraczu na naszę nawigacyą wiślaną dla pożytku prywatnej antrepryzy nie uważam za rzecz właściwą, i zdaje się, że i szanowny pan prezydent miasta taksamo zapatruje się na tę sprawę, skoro raz już odmówił zadośćuczynienia wniesionej prośbie.

O panoramie słyszeliśmy przed rokiem; nawet jeden z młodych malarzy zaczynał podobno szkicować epizod z Wojen Napoleońskich w tym celu. Potem ucichło wszystko; obecnie wiadomość ponowiła się ze szczegółami bliżej określonemi.

Panorama w osobnym budynku ma być pomieszczoną na jednym z placów miejskich kosztem akcyonaryuszów, którzy chcą złożyć kapitał 60.000 rs. Artysta malarz p. Kazimierz Mirecki wyjechał w tych dniach do Monachium, aby tam porozumieć się ze specyalistami w tym rodzaju i zasięgnąć bliższych informacyi.

Być może zatem, że już w przyszłym roku Warszawa pozyska nowość, pomnażającą szereg publicznych widowisk z charakterem artystycznym.

Na przedostatniej wystawie powszechnej widziałem pierwszą taką panoramę, malowaną przez p. Philippoteaux i wyobrażającą ze złudną prawdą, plastyką i perspektywą: „Oblężenie Paryża“; w Wiedniu przed laty sześciu pokazywano w Praterze w podobny sposób „Podróż arc. Rudolfa po Kairze“, a obecnie najbardziej sensacyjną nowością w tym rodzaju jest, zdaje mi się w Stutgardzie olbrzymie płotno monachijskiego malarza Piglheina, przedstawiające z wielkim realizmem w pojęciu i wykonaniu „Ukrzyżowanie Chrystusa“.

Do wykonania takiego dzieła w odpowiednich rozmiarach, potrzeba dzielnych rysowników i malarzy, obeznanych ze sposobami malowania, z effektem dekoracyjnym i wielką plastyką. Wiele polega tu na optycznem złudzeniu; figury muszą być na pierwszym planie, naturalnej wielkości, a perspektywa powietrzna wybornie zachowana.

Panorama taka ma kształt rotundy, w której obraz na płótnie rozciągnięty jest w koło i odpowiednio z góry oświetlony; widzowie zaś znajdują się zwykle na pewnem podwyższeniu, w zaciemnionej galeryi, odgrodzonej balustradą, a umieszczonej w samym środku tego koła; mają tedy widok otwarty na wszystkie strony i odbierają wrażenie, jakgdyby z pagórka jakiego patrzyli na roztoczony dokoła krajobraz, który jest widownią przedstawionej akcyi.

Nie wiem jeszcze, jaki temat wybrano do warszawskiej panoramy: projektowany „Rok 1812“ nastręczałby materyału do bardzo effektownych epizodów i grup malowniczych.

W zasadzie pomysł jest dobrym; Warszawa, z półmilionową prawie ludnością, mogłaby dostarczyć już sporo widzów takiej panoramie i zapewnić jej stały dochód, zwłaszcza w dnie świąteczne. Przedsiębiorstwo zatem ma widoki finansowego powodzenia, jeżeli przedmiot obrazu i wykonanie jego zasłuży na naszę uwagę.

Zanim to nastąpi, będziemy mieli wcześniejszą sposobność dziwić się innej wystawie z cechą artystyczną; w dniu 1-go Listopada otwartą zostanie w Muzeum przemysłu i rolnictwa wystawa dzieł starożytnej i nowożytnej sztuki stosowanej.

Trwać będzie do końca Grudnia b. r.

Na tę wystawę, jak opiewa ogłoszenie, przyjmowane będą przedmioty sztuki starożytnej i nowożytnej wszelkiego rodzaju, noszące na sobie cechę piękna i artyzmu z wyłączeniem obrazów olejnych i rzeźby artystycznej, należącej ściśle do działu sztuk pięknych. Wszelkie zaś inne okazy od najodleglejszej epoki, aż do naszych czasów i rzeczy charakterystycznie pamiątkowe wejdą w skład wystawy; wyłączone będą tylko dokumenta historyczne.

A zatem zobaczymy całe kollekcye mebli, wyrobów ceramicznych, szklanych, metalowych, jubilerskich, z kości słoniowej, z drzewa i kamieni, koronki, tkaniny i skóry, emalie, zbroje, zabytki sztuki drukarskiej, okazy sztuki introligatorskiej, numizmaty i medale, sfragistykę i instrumenta muzyczne.

Nagrody mają być rozdawane w medalach złotych, srebrnych, bronzowych i w listach pochwalnych.

Deklaracye trzeba nadsyłać od 15 Września do 2 Października.

Znając naszę ruchliwość i słowność w tym kierunku, śmiem twierdzić, że czasu na przygotowanie wystawy wyznaczono zamało. Niewiele mam też nadziei zobaczenia dużo rzeczy nieznanych a interesujących w dziale sztuki stosowanej z dawniejszych czasów; co można było wydobyć od prywatnych właścicieli i ze zbiorów większych, to już oglądaliśmy na kilku wystawach starożytności w pałacu Brühlowskim i w Hotelu Europejskim.

Nie zawadzi wszelako przypatrzyć się temu po raz wtóry.

Ciekawym wszelako może być dział nowożytny, ile uda się zapełnić go wyrobami i okazami prawdziwej wartości artystycznej, niewidzianemi na żadnej poprzedniej wystawie warszawskiej; dobrzeby było, aby komitet wystawowy pod tym względem uczynił był osobne zastrzeżenie, gdyż inaczej przyszła wystawa będzie tylko powtórzeniem poprzednich z pewnemi odmianami.

Wystawa muzealna rozpocznie tedy już na dobre sezon zimowy, a tymczasem dogasający *demi-saison* babiego lata zakończyły wyścigi w Pławnie, coraz więcej z każdym rokiem budzące interessu w kołach naszych sportsmenów a na *finish* popisać się jeszcze mają w Niedzielę nasi cykliści na torze mokotowskim.

Zapowiedziane gonitwy „naszych sprężystych“ z tego względu godne będą większej uwagi, że na stalowych biegunach stawią się i zagraniczni współzawodnicy. Początki nie bardzo były pomyślne dla cyklistów warszawskich, którym przed rokiem pierwsze laury zabrali łódzcy koledzy, ale sport kołowy pod godłem Fortuny od tego czasu rozwinął się znacznie.

Mieliśmy tu już przecie pięciu takich zuchów, którzy na swoich bicyklach odważali się na wycieczkę do Paryża i gdyby nie jakieś przeszkody, byliby pojechali z pewnością, według zapewnienia wszystkowiedzącej reporteryi.

Ominęła ich owacya w Paryżu, jaką zgotowano nadzwyczajnym gościom, którzy np. z Wiednia przybywali fiakrem na wystawę, albo podróżowali z prowin yi... taczką; jeden wiózł drugiego w tym oryginalnym wehikule i tem się obaj wsławili.

Czego się dzisiaj dla reklamy nie robi?..

W tym przedmiocie czytałem właśnie bardzo słuszny wyrzut, zrobiony naszej prasie w obszernym artykule *Kłosów* p. t. „Reklama“; autor uderzył na reklamy w dziedzinie literacko-artystycznej i odsłonił niektóre tajemnice redakcyjne, popierając swoje zarzuty wymownemi faktami.

W prassie całego świata odzywa się mniej lub więcej głośno trąba i bęben reklamy, która stała się źródłem głównego dochodu dla wielu najpoważniejszych z pozoru organów; u nas dotąd prassa polska ma przynajmniej ręce czyste i nie skalała się przedajnością, ale nie można powiedzieć, aby wolną była od słabostek, od stronniczości, od koteryjnych uprzedzeń.

Ta życzliwość dla jednych a nieżyczliwość dla drugich, to wyróżnianie sympatycznych a nieuznawanie niesympatycznych, to wydymanie mydlanych baniek do wielkości balonów, a pomijanie często prawdziwie ważnych i uwagi godnych rzeczy i ludzi, kwestyi i faktów, jest grzechem, ciężącem na naszem dziennikarskiem sumieniu.

Z jednej strony bez miary nie szczędzi się rozgłosu, z drugiej odmawia się go zupełnie, zabija pogardliwem milczeniem, albo umyślną szykaną.

Dzienniki nasze jaknajskwapliwiej korzystają z najdrobniejszej banialuki w pismach obcych, a jak najrzadziej i z przymusu jedynie posługują się materyałem z pism miejscowych, dlatego jedynie, aby nie zacytować źródła w imię fałszywie pojmowanej konkurrencyi.

Wymienienie tytułu dziennika lub gazety, często tylko nazwiska autora, należącego do innej redakcyi, niekoniecznie już do innego obozu, wzmianka o książce wydanej przez współzawodnika, uważana jest za... reklamę; unika się tego dla nizkiej i śmiesznej zasady, mając tylko osobisty interes i chwilowe względy na oku.

Czytająca publiczność nie domyśla się nawet, jaka taktyka kryje się w używaniu owych ogólnikowych określeń: „jedno z pism donosi“, „jeden z autorów pracuje“, „jeden z wydawców przygotowuje do druku“ i t. p.

Ta bezimienność ma być środkiem konkurrencyjnej ostrożności; niechaj Bóg broni, aby czytelnik wprost się dowiedział, że ta lub owa wiadomość o kilkanaście godzin wcześniej podaną została przez współzawodnika, że ten lub ów autor ośmielił się wydać zajmującą książkę, albo napisać dobry artykuł, jeżeli nie należy do liczby współcowników, albo przyjaciół danej redakcyi.

Krytyka nasza w znacznej części bywa także niczem innem tylko stronniczą reklamą na większą skalę i służy do pognębiania przeciwników lub niechętnych a podwyższania ponad poziom zasługi i wartości „swoich“.

Z zasady gani się jednych bezwzględnie i stale, jak znowu drugich wychwala; o jednych trąbi się codzień prawie, o drugich milczy zawzięcie i ignoruje ich istnienie.

Boże, jakie to małe wszystko i.... głupie!—jakie niegodne ludzi intelligentnych, którzy sobie przypisują prawa kierowania opinią publiczną!..

Kto pilnie przegląda nasze pisma, ten uważać musiał ów stały antagonizm sądów, zdań, miar, i poglądów na pewne fakta, pewnych ludzi, pewne firmy lub wydawnictwa; gdy jeden współzawodnik chwali, to drugi uważa sobie za najświętszy obowiązek zganić, dla równowagi... I na odwrót.

Taka taktyka przyczynia się tylko do większego bałamuctwa, do zabijania samodzielnego zdania czytającej publiczności, do ciągłego wytwarzania chaosu, zamiast do nauczania i wyrabiania krytycyzmu w szerszych kołach.

Mniejsza już o jednostki głaskane z jednej, drapane z drugiej strony; w odpowiedniej indywidualności wyrabia się z czasem obojętność na pochwały przesadne, zarówno jak na tendencyjne nagany.

Ale dlaczego cierpieć ma na tem ogół?... ten ogół, który jeszcze mimo wszystko, ufa drukowanemu słowu, zawierza znawstwu i bezstronności organów opinii publicznej, co więcej: płaci za to, aby go oświecano i informowano prawdziwie, bezstronnie, nie popychano w tym lub owym dowolnym i upatrzonym kierunku i nie grano z nim, jak z dzieckiem, w ślepą babkę.

Gdyby baczniej przeglądano własne pisma i nie wzdragano się z nich korzystać więcej, to nie powinnyby ujść publicznej uwagi i rozgłosu np. bardzo zajmujące i wybornie napisane artykuły d-ra Tchórznickiego ze Sterdyni w *Gazecie Warszawskiej*, zatytułowane: „Listy do młodzieńca, mającego wstąpić na wydział lekarski“. Autor wszechstronnie wykazuje dodatnie i ujemne strony tego zawodu w dzisiejszych warunkach; bez zwykłej frazeologii na przykładach objaśnia, dlaczego tak mało lekarzy kwapi się na prowincyą i co ich za dola tam czeka.

Z wywodów swoich dochodzi do wniosku, że „hyperprodukcyi lekarskiej odnośnie do rzeczywistej potrzeby u nas niéma, ale w stosunku do pojęć ludu i wytworzonego stanu rzeczy jest“.

Rywalizacya z felczerami, babami, znahorami, z ciemnotą i zacofaniem utrudnia i zadanie lekarza, i byt jego na prowincyi.

O środkach zaradzenia złemu przyrzeka autor pomówić w jednym z następnych listów.

Gdyby nie ciasne pojęcia konkurrencyjne w naszej prasie codziennej, byłoby choć jedno z nich wspomniało z kolleżeńskiego obowiązku o przekształceniu się „Kuryera Codziennego“, który zaprosił do grona swych współpracowników znanego adwokata i publicystę J. M. Kamińskiego, zmienił format, ożywił swoje rubryki, wprowadził illustracyą bieżącej chwili i spróbował wytworzyć u nas nowy typ pisma, wzorowany na francuzkiem „Figarze“ i trzymający środek między „Kuryerkiem“ a „Gazetą“.

Wogóle w całej prassie naszej objawiać się zaczyna pewne ożywienie i dążenie do zerwania z rutyną i szablonem.

Od 1-go Października przybędzie nam znowu wskrzeszony po trzykrotnej śmierci *Tygodnik powszechny* pod redakcyą znanego poety i belletrysty, estetyka i dziennikarza Wiktora Gomulickiego; znaczy to, że stosunki wydawnicze u nas się poprawiają, skoro z nową otuchą wskrzesza się pisma, zabijane zbyt ciężką w swoim czasie konkurrencyą.

„Powszechny“ pod dobrą firmą będzie pismem społecznem, literackiem i illustrowanem.

Oby mu się lepiej wiodło, niż dotychczas w trzech jego fazach i przemianach!

*

* *

W nekrologicznym kąciku moich felietonów zamieścić muszę choć krótkie wzmianki o dwóch zgonach: śp. arcybiskupa i metropolity, ks. Alexandra Kazimierza Gintowta w Duderhofie pod Petersburgiem i Eugeniusza Dziewulskiego, uczonego fizyka, jednego z gorących i zasłużonych działaczy około odrodzenia ruchu naukowego w Warszawie.

Ks. arcybiskup Gintowt był ósmym z kolei metropolitą Kościoła Katolickiego w Petersburgu; przed sześciu laty wyniesiono go na tę godność, połączoną z rozległemi wielce i trudnemi obowiązkami.

Należeć się będzie zmarłemu arcypasterzowi obszerniejszy artykuł na innem miejscu...

O nieboszczyku Dziewulskim powiedzieć można krótko, że nauka straciła w nim jednę z najdzielniejszych sił, a społeczeństwo jednego z najzacniejszych obywateli. Całe życie pracował dla nauki i społeczeństwa, śmierć wyrwała go w pełni dojrzałości fizycznej i umysłowej.

Był assystentem przy katedrze fizyki w szkole głównej, później preparatorem przy tejsamej katedrze w uniwersytecie warszawskim i wykładał swój przedmiot na wydziale lekarskim, w końcu, przed siedmiu laty został inspektorem oświetlenia gazowego w Warszawie.

Energiczny, gorącego serca, światłego umysłu, niezmordowany pracownik ubył w nim, a wydawnictwa „Pamiętnika fizyograficznego“ i „Wszechświata,“ których był najgorliwszym zwolennikiem, tracą w nim dzielną i znakomitą podporę.

Zasłużonej pamięci zmarłego cześć się należy...

*Quis.*

---

# KONGRESSY KOBIECE

na

## Wystawie Paryzkiej.

(Dokończenie)

*Międzynarodowy kongres dzieł i instytucyi kobiecych*, powstały z inicyatywy Rządu Francuzkiego i obradujący pod przewodnictwem Juliusza Simona, znanego pisarza i myśliciela w kierunku szlachetnych pojęć o świecie i człowieku, członka Akademii Francuzkiej, oraz Akademii Umiejętności i Nauk Politycznych, zebrał się dnia 12 Lipca w lokalu przez rząd mu oddanym: w sali merowstwa przy placu Ś-go Sulpicyusza, przybranej świetnie w chorągwie i narodowe godła francuzkie. Prezydentką obraną została zacna pani, Marya Köchlin Schwartz, stojąca na czele patryotycznego, miłością Francyi przejętego stowarzyszenia kobiet: „des Dames Françaises“, vice-prezydentką—Izabella Bogélot, dyrektorka kobiecego więzienia Saint-Lazare.

Programat działań kongressu podzielił go na cztery główne sekcye:

I. Filantropii i moralności.
II. Pedagogiki.
III. Sztuki i umiejętności.
IV. Prawodawstwa.

Komitet mieszany, składający się z kobiet i mężczyzn, przedstawiał wyborowo rozumne i szlachetne osobistości płci obojej, których nazwiska podane już zostały czytelnikom naszym przy pierwszej wiadomości o zawiązaniu się kongressu. Dodać tylko można, że Francya zebrała tu pierwszorzędne swe siły zasłużonych kobiet i myślicieli w zakresie filozofii moralnej. Rozprawy toczyły się też spokojnie i z godnością, bez gwałtownych wybuchów namiętności i uniesień, któreby przerwały bieg obrad, jak się to działo na *Kongressie praw kobiety*. Nie stawiano tu wniosków nierozumnych—wybryków myśli, nieliczącej się z tem, co musi być, jak było zawsze, podwaliną moralnego i społecznego porządku wśród ludzkości.

Posiedzenia odbywały się codziennie: rano od godziny 9-ej do 12-tej; popołudniu od 3-ej do 6-tej. Otworzył je Simon przemową bardzo piękną; witając delegatki obce, wykazał im cel kongressu, który wziął sobie za zadanie, aby ważne kwestye moralności i dobroczynności publicznej, oraz wychowania zostały roztrząśnięte wśród zgromadzenia kobiecego, bo kobieta, jako małżonka i towarzyszka mężczyzny u ogniska domowego, jako matka i wychowawczyni młodzieży, będącej pokoleniem przyszłości, jest podporą moralnego porządku społeczeństw, które potrzebują gruntować się na prawach niewzruszonych, aby ład moralny i szczęście narodów nie zostało zakłóconem przez wybryki jednostek niekarnych i miłością dobra ogólnego dostatecznie nieprzejętych.

Prawa, na których opiera się ten porządek, zostały ugruntowane na podstawie wiekowego doświadczenia ludzkości i głębokich, długich rozmyślań filozofów—ludzi, wiedzy, zdobywanej pracowicie. Łamać je lekkomyślnie pod natchnieniem namiętności, czy interessów własnych, łamać je zwłaszcza przez płochość, jest bezprawiem, grzechem przeciw spokojowi społecznemu, i kobieta powinna wiedzieć o tem, tak dla korzyści własnego istnienia, jak i dla celów zaszczepienia dziecku, rosnącemu u jej łona, pojęć odpowiedzialności narodowej i moralności publicznej—pojęć karności i posłuszeństwa nakazom praw obowiązujących. Prawa słuchać, jest zarazem uczciwością i rozumem; przecież muszą tu zachodzić zmiany, wywołane przez ducha czasu i potrzeby nowoczesnego życia; prawodawcy przeszłości niezawsze brali w rachunek potrzeby ducha kobiecego i dla celów ogólnych jedności i harmonii działań w rodzinie poświęcali osobiste prawa i słuszne pożądania kobiety. Przytem zmiany położeń życiowych i stosunków ekonomicznych, rozwój oświaty, z której promieni dostaje się kobiecie dzisiejszej więcej, niż niegdyś, wszystko oddziaływać musi na inne ustosunkowanie rodziny i społeczeństw, wśród których przy zmienionych obyczajach i ustroju życia innym, kobieta zajmuje miejsce wyższe, niż niegdyś i ma też prawo żądać zmian w tem, co jako forma istnienia już przeżyta nie odpowiada obecnemu położeniu rzeczy.

Tu mówca przypomniał siłę obywatelskich uczuć—obywatelską ofiarność i mężne zachowanie się kobiety francuzkiej wobec ostatnich nieszczęść jej ojczyzny: Gdzie serca kobiece tak biją, gdzie kobieta tak umie stanąć na posterunku służby obywatelskiej, tam kraj powinien widzieć w niej podporę dla pożytecznej, na korzyść ogółu obracającej się pracy. Należy też, aby Francya wypłaciła się córom swoim przez staranną troskliwość o rozwój szlachetnych instynktów ich cywizmu, dając im możność tego wyższego wykształcenia, które—zwłaszcza w wieku naszym, jest konieczną podstawą dla dobrze, pożytecznie pędzonego życia.

Dni następnych przemawiały obok pań, tworzących komitet, delegatki różnych narodowości, mniej lub więcej wymowne. Mowa p. Emilii de Morsier, sekretarki kongressu, osoby bardzo czynnej i intelligentnej, odznaczała się dotyla, że ją powtórzyły dzienniki francuzkie i zagraniczne, jakkolwiek nie znajduje się w niej nic, coby mogło uderzać szczególniej wyższością i szerokością poglądów na powołanie i obowiązki kobiety. Pani ta, Angielka z rodu, osoba bardzo piękna, imponującej postawy, pociągała szczególniej głosem bardzow dzięcznie brzmiącym i sztuką wytwornego słowa, przecież dopuściła się ona w przemówieniu swojem pewnej nielogiczności.

Przemawiała od delegatek zagranicznych, mówiąc zaś o Francuzach, o Francyi, wyrażała się: „wy“ „wasze“, nie zaś: „my“, „nasze“... jakby to mówiła Francuzka, a jednak zacytowała ostentacyjnie paradox, powtórzony za poetą francuzkim, którego nazwiska nie zacytowała: — „Należy się do kraju, który się kocha“. Nie... nie!... jest to błąd i nieprawda. Należy się do kraju, który jest nam rodzinny, który był nam kolebką i jest grobem dla prochów ojców naszych, którego tradycye wypiastowały nam ducha, którego idea w nas się wcieliła, który poił nas od dziecka mlekiem swojej poezyi, grzał ogniem miłości swej i wiary! Że tak jest — że z tych węzłów zadzierzgniętych z pierwszym oddechem piersi nie można nigdy wyrwać się zupełnie, stwierdza mówczyni na sobie samej, zaznaczając mimowolnie odrębność swoję od przybranej ojczyzny. To, co jest jej—

jej prawdziwą, nieodjętą nigdy własnością istoty jej uczucia, jest to angielskiem i na całe jej trwanie w życiu ziemskiem angielskiem zostać musi, co też ona w mimowolnem, z piersi jej wyrywającym się głosie, swojem nazywa.

Między delegatkami zagranicznemi, reprezentującą nas była p. Szeliga-Loevy; czy przecież była to reprezentacya dokładna, przedstawiająca kobietę naszę w jej nastroju myśli i uczuć: w jej tradycyjnem pojęciu kobiecości, w jej rodzinnych cnotach i barwach jej ducha?

Kongres rozwiązał się po ośmiu dniach trwania. Ostatnie posiedzenie odbyło się pod przewodnictwem Simona i p. Bogélot. Przemawiała tu jeszcze pani, zasłużona w sprawie nauczania elementarnego: M-me de Kergomard, piastująca urząd generalnej inspektorki paryzkich ochron (Ecoles maternelles). Poczem komitet kongressu sformułował rezultaty rozpraw swych i namysłów, zawartych w formie życzeń:

I. Kongres pragnie, aby prawo przymusowego uczęszczania do szkół ludowych rozciągnęło się do ochron, a to odnośnie do dzieci bez opieki, żebrzących, lub oddających się włóczędze.

II. Kongres pragnie urządzenia szkół specyalnych dla dzieci, które za jakieś przewinienie zostały ze szkoły ogólnej wydalone.

III. Nauka tak chłopców, jak dziewcząt, oraz kierownictwo moralne w szkołach dla dzieci do lat dziesięciu, powinny być wyłącznie w rękach kobiet: nauczycielek i ochmistrzyń.

IV. Ludowe szkółki w wielkich miastach powinny zatrzymywać dzieci w lokalu szkolnym, aż do czasu ukończenia roboty po fabrykach i pracowniach, zajmując je po skończonej nauce gymnastycznemi zabawami w gry odpowiednie. Rodzinie robotników dziecko powinno być oddane dopiero wieczorem.

V. W szkołach wiejskich uczęszczanie do nich dzieci powinno być według pory roku tak skróconem lub przedłużonem, aby dzieci mogły pomagać rodzicom przy pracy w polu lub ogrodach.

VI. Podobnie, jak to ma miejsce przy ochronach, powinny być przy wyższych szkołach dziewcząt i szkołach ludowych ustanowione opiekunki i inspektorki. Wszystkie edukacyjne zakłady żeńskie powinny mieć inspekcyą kobiecą.

VII. Pensyonaty przy normalnych szkołach dziewcząt należy znieść. (Odnosi się to do szkół normalnych, znajdujących się przy zgromadzeniach klasztornych, gdzie dziewczęta przebywające stale rok cały odbierają obok nauki wychowanie).

VIII. Najzupełniejsza równość, tak w urządzeniach wewnętrznych, jak w planie nauk szkolnych chłopców i dziewcząt, powinna być zaprowadzoną we wszystkich szkołach państwowych.

IX. Przy naradach władz oświecenia publicznego nad wychowaniem i nauką dziewcząt, kobiety powinny niezbędnie mieć głos.

Po ogłoszeniu tych postanowień kongressu podniosły się jeszcze głosy, żądające dopełnienia życzeń tu wyrażonych, przez dodanie jeszcze innych, objawionych wśród dyskussyi znaczną liczbą głosów, i wskutek tego dodano jeszcze trzy paragrafy uchwał kongressu, z których dwa ostatnie przeszły przy bardzo żywych rozprawach.

X. Świadectwa, wydawane przez sztukmistrzynie przewodniczące kobiecym szkołom sztuk pięknych, powinny być dostateczne do mianowania nauczycielek wszelkich stopni w konserwatoryach muzycznych i malarskich.

XI. Prawo powinno rozciągać ochronę swoją nad niedojrzałością dziewczęcia do lat 21 (nie do lat 14-tu).

XII. Pozwolenie rodziców na zawarcie małżeństwa powinno obowiązywać do 21 roku nietylko syna, ale i córkę.

Delegatki podnosiły jeszcze bardzo żywo wnioski, żądające dla kobiety prawa głosu przy wyborach do parlamentu i wielu takich zmian w kodexie praw cywilnych, aby to, co jest przestępstwem dla kobiety, co ściąga na nią repressyą władz porządku publicznego i odpowiedzialność moralną wobec opinii, dosięgało również i w tymsamym stopniu mężczyznę, winy wspólnika. Najżywiej występowała tu delegatka z Paryża, M-me de Ferrère, ale znaczna większość głosów była przeciw jej wnioskom, które upadły. Upadł również wniosek, aby pozwolenie na małżeństwo ze strony rodziców rozciągało się dla synów do lat 25 wieku na zasadzie, że wcześniej mężczyzna nie jest dostatecznie dojrzałym do tworzenia rodziny i ogniska domowego—że gwałtowność namiętności młodzieńca nie jest jest jeszcze wtedy dość równoważoną przez rozum.

Kongres zamknął się d. 18 Lipca o godzinie 4 po południu, przyczem trzy zagraniczne delegatki: Angielka: M-rs Paynter, Szwedka: Alli Trygg, i Niemka: Lina Morgenstern, dziękowały Francyi za gościnność i podniesienie kwestyi, dotyczących nietylko materyalnego dobrobytu kobiety, ale regulujących kierunek jej moralnego i umysłowego rozwoju wśród ogólnego postępu ludzkości.

Wszystkie uczestniczki kongressu fotografowały się w grupie jednej zaraz po opuszczeniu sali obrad, na dziedzińcu merowstwa, gdzie staraniem komitetu wystawy przygotowania do tego były już poczynione. Nazwał to komitet aktem przyjaźni i pokoju, zawartego przez kobiety wszystkich narodowości w imię wspólnych interessów ludzkości. Znalazł się tu przecież protest przeciwko tak pojętemu zebraniu się kongressu i gdy Juliusz Simon, żegnając delegatki, wyraził życzenie, aby kobiety wszystkich cywilizowanych ludów świata miłość, pokój i zgodę wszystkich narodów wzięły sobie za zadanie, przeprowadzane w wychowaniu dzieci, z głębi sali ozwał się wzruszony głos kobiecy, wołający: „Niech żyje Alzacya i Lotaryngia“!

— Ojczyzna Joanny d'Arc—dodano z drugiego miejsca, a że między Francuzkami zapanowało silne wzruszenie, dowodził tego stłumiony płacz, który słychać było w ich grupie.

Mówca nie stracił zimnej krwi i zakończył swój frazes, za który otrzymał rzęsiste oklaski; niemniej kobieta francuzka postawiła tu swój protest.

Wieczorem dnia tego dany był dla uczestniczek kongressu bal w pałacu ministeryum robót publicznych, gdzie minister Guyot wraz z małżonką podejmowali zgromadzenie bardzo świetnie i gościnnie.

---

# SĄSIEDZI

## OBRAZEK WSPÓŁCZESNY

napisała

Zbigniewa Zmorska.

(Dalszy ciąg).

### II.

Opuściwszy pana Michała, baron jedzie zwolna drogą, podnoszącą się łagodnie w górę, ku widniejącej zdala czerwono zabudowanej posiadłości. Usposobienie jego jest stale dobre. Kierując wprawnie karemi rumakami, rozgląda się po polach i łąkach z widocznem zadowoleniem. Niekiedy uśmiecha się do siebie tak szczerze, że nietylko twarz, lecz i mocno zaokrąglony brzuszek bierze udział w tej wesołości.

— He, he, he! — mruczy sobie pod nosem. — Nieporozumienia familijne!... Ci się nieporozumieją ze sobą ani za lat sto!— Niemasz, jak nieporozumienia familijne!

Rozmawiając tak sam do siebie, baron mija dworek pana Michała, i lasek bukowy, dojeżdża do pięknego murowanego mostu, z porządnie na czarno malowanemi poręczami, poza którym na tablicy przydrożnej wielkiemi literami widnieje napis: „Dronkau“. Ktoś, nieświadomy z trudnością-by się domyślił, że to jest przetłómaczone w ten sposób na język niemiecki nazwa wsi, która przed niedawnym jeszcze czasem zwała się polskiem: „Drzewnem“.

Poza mostkiem i tablicą, otwiera się jakby świat inny. Droga dotąd bardzo porządna, ale będąca zwykłym, wyjeżdżonym szlakiem, staje się żwirówką. Równa, gładko ubita, okopana szerokiemi rowami, prosto i szeroko biegnie między uprawne, pokrajane w systematyczne kwadraty pola, wyglądające jak szachownica i mieniące się różnobarwnemi odcieniami, rosnących zbóż i jarzyn. Każdy zagon, każda redlina, wyciągnięte pod linią, okopane, obwarowane, obrównane starannie; każda bruzda—szeroka i głęboka, odpowiadająca doskonale potrzebie rosnącego zboża lub gruntu, przyjemny widok może sprawić oku znawcy gospodarza.

Baron też widocznie rozkoszuje się tym obrazem. Popuszcza lejce koniowi i, jadąc stępo, przygląda się gruntom swoim z wysokiem zadowoleniem.

Od niewielkiego brzozowego lasku przez redlanki buraków, idzie właśnie ku drodze, szerokiemi krokami, wysoki młodzieniec. Jego chudą, jakby spłaszczoną postać odziewa szara kurtka z zielonemi wyłogami i świecącemi guzami, zpod której widać dwie czerwoną włóczką na kanwie haftowane szelki, krzyżujące się na białej koszuli. Długie, chude, bocianie nogi giną w wązkich szaraczkowych spodniach, kryjących się na wysokich, u kolan na rzemyki spiętych butach. Jasnowłosą, melonowatego kształtu głowę, nakrywa tyrolski kapelusz, otoczony zieloną wstęgą, poza którą zatknięte piórko kuropatwie, zdobi go w równie charakterystyczny sposób, jak gałązka sosnowa czapkę barona.

Za młodzieńcem przez redlanki kroczy czarny pudel, z wystrzyżonemi piętkami i ogonem. Pies uderza, podobnie jak jego pan, pewną charakterystyczną cechą. Obaj mają w sobie coś rodzimo, typowo-germańskiego, i sam widok tej pary zdaleka już nasuwa myśl o wielkim *vaterlandzie*.

Baron spostrzega ich bystrem okiem, zatrzymuje kare rumaki i, wychyliwszy się z faetonu, woła:

— Gottlieb!

— Pan baron! — odpowiada zdala krocząca przez pola figura, której bocianie nogi przyśpieszają kroku, i, przeskakując po kilka redlanek, kierują się na stronę drogi.

Za chwilę wysoki młodzieniec przeskakuje rów przydróżny, staje obok faetonu i przykłada dwa palce do kapelusza.

Zblizka młody ten Niemiec nie uderza niczem wybitnem. Dodać tylko jeszcze możemy, że podłużną jego głowę, przyozdobioną parą odstających uszu, pokrywa włos jasny, niemal biały, przez który przebija się wyraźnie mocno-czerwona skóra. Twarz całą, o rysach wyciągniętych, zasiewają gęste żółte piegi, czyniąc ją podobną do skorupki indyczego jajka.

— Słuchaj-no Gottlieb — odzywa się baron. (Nie potrzebujemy objaśniać, że rozmowa następstępna toczy się w czysto-narodowej „Buchsprache“), — Stary Łaszcz sprząta na gwałt pszenicę.

Młodzieniec zwany Gottliebem podnosi do góry ramiona z gestem bezsilności.

— Nie mogliśmy temu przeszkodzić — odpowiada.

Oblicze barona surowieje.

— Trzeba było przeszkodzić. Mówiłem: dać robotnikowi półtorej marki... dwie marki, a nie byliby dostali najemnika.

— Dawaliśmy, ale ludzie z wolnej części Polesia od wczoraj pójść do nas nie chcieli.

— Za takie pieniądze? — ironicznie pyta baron.— Nie umiałeś się, Gottliebie, wziąć do tego. Za dobre pieniądze wszystko kupić można.

— Robiłem co mogłem, ale nawet za dobre pieniądze ludzie ci iść do nas nie chcieli. Posłałem do nich starszego Fryca — odpowiedzieli: że muszą ratować swego pana, któremu zboże gnije w polu.

— Teufel! — mruknął baron przez zęby.

— Wszystkiemu winna ta panna, ta córka Łaszcza — raportuje dalej młodzieniec. — Chodzi po chatach, leczy chorych, dzieci uczy robót i wspomaga biednych wedle możności. Chłopi kochają ją. Skoro też wczoraj przemówiła do nich, zbuntowali się na nas, nie dali się przekupić i poszli ratować jej ojca.—Groźne dwie fałdy ściągają się silniej na czole barona.

— Tak, tak, ta... Łaszczówna bruździ mi tu nieraz. Krzyżuje moje plany! — mówi ostro, poczem zaczyna przyglądać się burakom nad drogą, i przez chwilę zdawać się może, iż zajmuje go tylko stan tych buraków.

— Gottliebie!—odzywa się po chwili—za dziesięć dni odbędzie się jarmark w X.... Stary Łaszcz poprowadzi tam sześć młodych koni, które w tym celu trzyma w stajni. Znasz je?

— Znam. Dobre, zdrowe konie znajdą kupca.

— Trzeba, żeby nie znalazły.

— Jakim sposobem możemy to zrobić? — pyta chudy młodzieniec.

— Na ile taxujesz siwosza Łaszcza?

— Dobre, młode konie... sztuka w sztukę sześćset siedmdziesiąt marek.

— A nasze cztery kasztany?

— Fiu! — konie przeznaczone na stajnią pana barona! — tysiąc marek koń w konia!—z rozkosznem mlaskaniem języka odpowiada młodzieniec.

— Weźmiesz je na jarmark do X.... i sprzedasz po tej cenie, jaką dawać będą kupcy za konie Łaszcza. Fajansowe oczy Gottlieba wyrażają podziw.

— W takim razie grubo stracimy—odpowiada żywo.

— Nie stracimy nic. Nasze konie więcej warte od Łaszczowych: jeśli więc zażądamy za nie takiej ceny, to na Łaszczowe nikt nie wejrzy, i stary będzie je musiał wziąć do domu, ale nie może ich tam trzymać długo. Wkrótce zjadłyby się same. Trochę później my je kupimy za pół ceny. Ani grosz więcej!—za pół ceny. Tym sposobem, pieniądze stracone na naszych koniach wrócą nam się w całości, a to będzie zyskiem, że Łaszcz straci na tych koniach dwa tysiące marek: będzie to drugi, dobrze załatwiony interes. Nie daje to niby korzyści odrazu, ale w stosunkach między nami i nimi nic nie ginie. Uważaj, Gottlieb, to, co Polak traci, zawsze później znajdzie się w naszej kieszeni. Ha! ha! ha!..

Oczy Gottlieba rozjaśniają się uwielbieniem.

— Podziwiam rozum pana barona! — odpowiada, unosząc zlekka kapelusz na jasnej głowie.

Kompliment ten wprawia barona w dobry humor.

— Tak, tak, czterysta marek bez pracy! — powtarza dobitnie: — pamiętaj to sobie, chłopcze... Ucz się: jak tu powinno się żyć.

Fajansowe oczy młodzieńca roziskrzają się.

— Rozumiem, panie baronie, rozumiem.... chodzi tu o coś więcej, niż o te czterysta marek—mówi, uśmiechając się chytro.

— No, tak jest... Chodzi mi oto, aby Łaszcz nie opłacił procentów, raty Towarzystwa Kredytoweho... Kupimy wtedy Polesie, także za pół ceny.

Młodzieniec milczy, kręcąc rzadki, jasny wąs, bierze naukę na rozum i rozważa ją sobie...

Lekki szelest słyszeć się daje poza faetonem; zjawia się wysmukła postać dziewczęcia, na której widok baron i praktykant jego gospodarski prostują się.

Dziewczyna ubrana jest z prostotą, ale i z wielką elegancyą, w suknią z szarego płócienka; na ciemnych warkoczach ma słomkowy wielki kapelusz, opasany ponsową wstęgą, zpod którego rzuca na rozmawiających bystre, badawcze spojrzenie... Nie jest piękną, ale młodość, wdzięk i intelligencya bijąca z każdego rysu ożywionej jej twarzy czynią ją wysoce interessującą i powabną. Ostatnie słowa barona doszły widać jej uszu, bo, przechodząc obok faetonu, zwraca głowę w jego stronę i zatapia śmiałe, przenikliwe spojrzenie w twarz barona. Przez jednę błyskawiczną chwilę, rozumne, nieco melancholiczne szafirowe oczy, przysłonione jedwabistą czarną rzęsą, wiodą zaciętą walkę ze stalowemi jego oczyma. Rezultatem tych niemych zapasów jest to, że baron podnosi grzecznie rękę do czapki. Oile starego Łaszcza traktował lekko i nieco protekcyonalnie, otyle młoda panna imponuje mu widocznie, i zdejmując czapkę z uszanowaniem, odkrywa przed nią łysą głowę...

Dziewczyna oddaje mu ukłon w ten sposób charakterystyczny, że zamiast schylić, podnosi w górę swą piękną główkę i mija faeton lekkim krokiem.

Baron patrzy na nią chmurno, kładąc zwolna czapkę na głowę.

— Harda, wysoko patrząca... Wszystkie one takie, — mówi przez zęby. Poczem, pożegnawszy Gottlieba skinieniem dłoni, rusza zwolna w dalszą drogę.

III.

Tymczasem nadciągająca chmura zaciemnia coraz szerzej horyzont i zdaje się wisieć ciężkiemi swemi kłębami ponad dyszącą żarem ziemią.

Powietrze staje się z każdą chwilą duszniejszem, w atmosferze przesiąkłej elektrycznością czuć nadchodzącą burzę. Stary szlachcic, rozstawszy się z baronem, zmierza do domu, krokiem coraz wolniejszym, ociężalszym. Po drodze zaszedł jeszcze do żniwiarzy, zajrzał do gumien, i czuje się już bardzo zmęczonym. Duszny upał czyni powietrze ciężkiem do oddychania; stanąwszy też pod gankiem swego dworu, oplecionym bujnie chmieliną, stary zatrzymuje się, ociera chustką grube krople potu z czoła, i przystanąwszy chwilę dla odpoczynku idzie wgłąb' domu; kieruje się w sieni nalewo i otwiera drzwi do obszernego pokoju.

Jestto komnata narożna, wesoła, jasna, pomimo tego nawet, że niebo zachmurza się coraz bardziej, jak to widać przez szerokie weneckie okno, wychodzące na pełen zieloności ogród. Skromne, wyściełane meble, pokryte zielonym safianem ustawione są z wielkim gustem, choć z prostotą, a mnóztwo kwiatów w wazonach i koszach, w połączeniu z widokiem pełnego zieloności ogrodu, czynią ten zakątek niezmiernie miłym. Nie masz tu śladu pretensyi, dokoła panuje wielka prostota, w połączeniu ze smakiem artystycznym, zaznaczającym się w najdrobniejszej fraszce. Na środku stalugi malarskie, wysunięte nieco ku oknu, a na nich naciągnięte płótno przedstawia naszkicowaną i zaledwie podmalowaną głowę kobiecą.

Przed tem płótnem, tyłem do okna, stoją dwaj młodzieńcy. Jeden z nich, średniego wzrostu szatyn, o bujnym, lśniącym się włosie i rysach miękkich, ruchliwych, ożywionych płonącemi ciemnemi oczyma, niecierpliwym ruchem ściera gąbką to, co przed chwilą rzucił na płótno. Drugi, wysoki blondyn, z twarzy rysów greckich, pełnych spokoju i powagi, przygląda się temu z uśmiechem, ujawniającym się więcej w głębokich błękitnych oczach, aniżeli na ustach.

— Nie mogę pochwycić wyrazu... Nie mogę nadać tym rysom wyrazu takiego, jaki mam w wyobraźni wtedy, gdy nie patrzę na to płótno!—mówi pierwszy z pewnem rozdrażnieniem, rzucając gąbkę, aby znów chwycić za pendzel.

— Cóż to ma być? — Minerwa, czy Mignon? — Frufru, czy Magdalena?

— To ma być... studyum — kobieta.

— W takim razie, weź coś z każdej z nich — czoło Minerwy, oczy Mignony, lekkość tamtej, słodycz owej... Dodaj do tego uśmiech sfinxa.

— Ach — odpowiada artystka z lekką goryczą: — Rzekłeś, i skończone arcydzieło! — Ale proszę cię, weź pendzel, i oddaj je tu na płótnie. Czy sądzisz, że mi brak twórczej myśli? — Noszę ją w głowie, w duszy, płonie tam, pali mnie!—ale wydać jej nie mogę, nie mogę odtworzyć tak jak muszę. Brak mi czegoś, co nie leży w technice: w rysunku, w kolorycie, lecz w czemś subtelniejszem. Braknie mi czucia w pendzlu! — Potrzeba mi mistrzów, których dzieła rozdmuchałyby iskrę mego talentu! — Trzeba mi Włoch, Florencyi, Romy!.. Tutaj,—dodaje, ze zniechęceniem odrzucając pendzel—tutaj, nie rozwinę nigdy skrzydeł. Zkąd tu czerpać natchnienie pod tem bladem, ołowianem, chmurami przesłoniętem niebem?.. Zkąd tu brać konieczną do takiej pracy swobodę myśli śród ogólnego ucisku i biedy?.. Tu brak mi najprostszych warunków życia, nie mówiąc już o życiu artystycznem....

Słowa młodzieńca przerywa wejście starego szlachcica, który wchodzi do pokoju ociężałym krokiem, ocierając fularem uznojone czoło. Artysta urywa nagle wybuch goryczy, chwyta pendzel i gniewnym ruchem poczyna robić poprawki na płótnie, podczas, gdy pan Michał odstękując, opuszcza się na fotel przy drugiem oknie.

— A byłeś stryj w polu? — pyta wysoki blondyn, zbliżając się do starego.

— Byłem. Przed nocą jeszcze deszcz lunie!—Ciężki rok!.. o, ciężki!.. Mocny będzie—kto go przetrzyma.

— Więc niewielu będzie takich, bo niewielu jest mocnych..

— Ja, wiem, że upadnę—z ciężkiem westchnieniem odpowiada pan Michał.

Po ruchliwej twarzy artysty przechodzi gra gwałtownych uczuć. Czoło ściąga się w głębokie zmarszczki, nozdrza rozszerzają się namiętnie, usta pod ciemnym wąsikiem naciskają nerwowo. Rzuca pendzel i, założywszy ręce wtył, poczyna szybko chodzić po pokoju.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

# NOWINY PARYZKIE.

Paryż 20 Sierpnia, 1889 r.

Czem się odznacza dzisiejsza wystawa paryzka. — Zabawy i pohulanki powszechne. — Dwa kongressy kobiet. — Pani Deraisme i kongres dzieł i zakładów niewieścich.—Towarzystwo chóralne finlandzkie.—„Muntere Musikanten".—Ośmiuset pięćdziesięciu Węgrów. — Festyn w ruinach St. Cloud.—Olbrzymi bal wystawców w pałacu przemysłowym na Polach Elizejskich. — 35,000 zaproszonych gości.—Bal w tym pałacu dla robotników wystawy powszechnej.—Zamknięcie Izb.—Obchód święta narodowego 14 Lipca i rewia w powodzi deszczu.—Przybycie Króla Greckiego i Szacha Perskiego.—Przyjęcia.—Przedwczesne ogłoszenie nagród przysądzonych na wystawie sztuk pięknych. — Meissonnier; skargi na niego. — Stary mistrz żeni się z rozpaczy. — P. Sécretan i słowo prawdy o obrazie Millet'a „Angelus".

(Dokończenie).

W kilka dni po Finlandczykach dwa pociągi specyalne przywiozły na dworzec kolei Lugduńskiej—*850* Węgrów! Było to zupełne przeciwieństwo, jakby dwa wybitne typy—rasy i narodowości. Tamci spokojni, może trochę sztywni, ale jednolitej całości w zachowaniu się; w ruchach, w fizionomii, mają coś, co wywołuje i zaostrza uwagę przechodnia; Węgrzy — to ich biegun przeciwny: hałaśliwa i burzliwa massa, złożona z mężczyzn, kobiet i nawet dzieci, dziwaczna trochę i teatralna z ubiorów; wrażenie, które wywiera, dalekie jest od przyjemności i wdzięku, jakim się odznaczali goście z Finlandyi.

Węgrów przyjęto na dworcu głośnemi okrzykami „Vivat i Eljen"! Delegacye rady municypalnej i towarzystw literackiego i międzynarodowego, z prezydentami na czele, wyraziły im całą radość, z jaką Paryżanie, przyjmują ich, pragnąc się odwdzięczyć za to przyjęcie, jakiego doznali na Węgrzech w roku 1885 Francuzi z Lessepsem na czele.

Węgrzy, również jak Finlandczycy, nie będą się uskarżali zapewne na przyjęcie doznane w Paryżu. Podróż Sekwaną z Paryża do St. Cloud, festyn wieczorny, wyprawiony w parku na cześć kochanych gości,—były tak świetne, że mogły zadowolnić najbardziej wybrednych ludzi.

Świetna illuminacya ogniem i światłem zalała cały ogrom parku, na którego głównych ulicach powiewają chorągwie o barwach Francyi i Węgier. Wokoło ogromnego trawnika wznosi się rodzaj zaimprowizowanego teatru wiejskiego, ogro-

mny namiot, przeznaczony dla tancerzy piekielnej czardy—i nakoniec 150 stołów, każdy na 6 osób, stanowi ponętną stronę pikniku! A wszystko to goreje w płomieniach gazu, światła elektrycznego i ogni bengalskich. Owoce, ciasta, przysmaki—niezbędny szampan, szumiący jak myśli w głowach ludzkich, oczekują wesołych biesiadników.

Wieczór pogodny, noc księżycowa, podnoszą jeszcze wdzięk tej pohulanki braterskiej. Podróż na czterech statkach jest nieprzerwanym tryumfem; z obu brzegów głośne wiwaty towarzyszą wesołym gościom, którym przygrywają w szalonem tempie cygańskie orkiestry. Nakoniec przybijamy do celu, i tu, przy dźwięku marseliezy i marsza Rakoczego, odbywa się wylądowanie całej rozgorzałej rzeszy, a po wylądowaniu prawdziwy pochód w zachwycie.

Zabawę rozpoczyna koncert najpierwszych i najlepszych śpiewaków paryzkich ogródkowych, ze sławną Judic na czele. Jak St. Cloud St. Cloudem, nie słyszało ono i słyszeć zapewne nie będzie takich okrzyków „Eljen! Eljen! *A tout seigneur tout honneur*—ale, aby coś podobnego spotkać, potrzeba chyba cofnąć się ku czasom, kiedy to na szampańskie równiny Attyla prowadził swe hordy.

Gdy się koncert skończył, w jednem mgnieniu oka Węgrzy jak mrowie obsiedli 150 stołów i jedli i pili—tu zaprawdę już bez metafory można powiedzieć, że aż za uszami trzeszczało; zmietli wszystko tak na czysto, że tylko szkło i porcelana zostały na placu.

Wtem pod sąsiednim namiotem Cyganie znowu zaczęli grać szatańską czardę. Dalejże w pląsy, kto może i jak może! Tego już opisać nie podobna. Węgry i Polska nie widziały takiej hulanki. Trzeba było to widzieć, aby zrozumieć, czego to dokazać może przy cygańskiej muzyki dźwiękach Francuzka w objęciach tego podochoconego Węgra, pierwszy raz w życiu nieznaną sobie czardę pląsając! Nie chcę nawet próbować tych fantastycznych opisów, bo na to trzeba pióra takiego chyba Hofmanna! Słowem: przeciągnęło się do świtu, a kiedy wojskowa muzyka dała znak do odwrotu,—uradowani, ale chwiejący się już na nogach Węgrowie pociągnęli do czekających na nich statków.

Zresztą, na balach, festynach, zabawach nie zbywa — wszystko jest dobrym do tego pretextem. Tu jakaś rocznica, tam wielki jubileusz; tu wdzięczni wystawcy dają bal w Pałacu Przemysłowym na Polach Elizejskich rządowi rzeczypospolitej i kollegom francuzkim. Trzydzieści pięć tysięcy zaproszonych! Piękne zgromadzenie dla zabawy. A co to mogą kosztować tego rodzaju hece? Samo już przystrojenie takiego gmachu, jak ów Pałac Przemysłowy na Polach Elizejskich, przeraża najzuchwalszą wyobraźnią. Cóż dopiero powiedzieć o postawieniu na stopie balowej olbrzymiej massy 35.000 ludzi, z których większa połowa kobiet w strojach dobrze wam znanych! Sam już opis urządzenia i sterownictwa tego balu potrzebowałby conajmniej całej objętości mojej korrespondencyi. Daję więc pokój i nie dotykam już więcej tego przedmiotu. Słówko tylko o rezultacie i o fiziognomii sali balowej.

Wnętrze kryształowego (powiedzmy „szklanego“ gmachu), stanowi kolosalne ramy, w których się mieszczą świetne dekoracye, oślepiające oświecenie, bogate makaty, wytryskujące wśród kwiatów fontanny, wiszące ogrody, całe lasy drzew przesadzone—i jakim kosztem! Niczego nie brakło, prócz jednego choćby zacisznego pokoju, ale ten nie znajdował się w programacie.

Olbrzymi parkiet — dziesięć tysięcy metrów kwadratowych—cały hektar — pokrywał podłogę gmachu iskrzącego się milionem świateł i sztandarów. Lampy gazowe i sta snopów elektrycznego światła zalewały całą, kolosalną przestrzeń; pięć tysięcy złoconych foteli czeka na uprzywilejowane panie i panienki.

Nad tem wszystkiem unosi się niezmiernych rozmiarów trójkolorowe *Velum* — zasłaniające przezrocze szklanego dachu, i przetwarza cały przestwór pałacu w jakąś olbrzymiej wielkości salę, gdzie się tłoczy tłum narodów i stanów. Na galeryach i w lożach najdziwniejsze sprzeczności—cywilizujących i cywilizowanych; w jednej z nich—delegacya senegalska, wśród niej imponuje wszystkim młody ogromny Murzyn, brat czy syn jakiegoś królika, oparty niedbale o poręcz balustrady, w czarnej kamizelce i w okrągłym miękkim kapeluszu białym, ściągniętym trochę na prawe ucho—dziw nad dziwy! spogląda obojętnie na ten tłum, co się przesuwa przed nim.

*Dżoja* ta trwała do białego dnia. O godzinie 1-ej po północy, kiedym wychodził z pałacu, tańczono na całej przestrzeni; tłoczono się do ogromnych bufetów, a przy wejściu nowi jeszcze przybywali goście, popychając się jak stado owiec.

Wiecie już w jaki sposób i w jakich warunkach w d. 15 Lipca, nazajutrz po narodowem święcie, rozjechały się Izby rozprawiwszy się z bulanżerówką i uchwaliwszy nowe prawo wyborcze. Kiedy człowiek pomyśli, że sto lat temu w tył był to szkopuł, o który aię rozbijała łódź wioząca losy ojczyzny naszej,—widzi się ze zdziwieniem przeniesionym, jakby w te odległe smutne czasy i patrzy z przestrachem na to, co się tu dzieje!

Obchód narodowego święta w tym roku utonął w kataraktach ulewy—i sławna rewia skończyła się na chlapaninie, której doplero można było zaśpiewać: *En revenant de la revue*... wśród deszczu i błota. Ale ponieważ tutejsi ludzie, byle im tylko zapalić jakątaką łojówkę, gotowi są zbiegać się na to widowisko; więc to nie popsuło humoru—i wśród illuminacyi i fajerwerków i na nutę najfałszywszej waltorni z wtórem skrzypeczki—znaleźli się ludzie gotowi do zarysowania na zabłoconych chodnikach najweselszych wykrętów narodowego kadryla.

Pomiędzy temi dwoma nawrotami wesołych świątek 10 Lipca w Pałacu Przemysłowym i 14-go na rogach wszystkich ulic mieści się sławny bal d. 13 Lipca, dany w tychżesamych warunkach i w tymsamym pałacu przemysłowym — dla robotników, którzy pracowali około wystawy. I temu wszystkiemu ze ścisłością prawdziwego inżeniera, jakim jest p. Carnot, przewodniczy i assystuje, nie znużony prezydent rzeczypospolitej.

Aby dopełnić miary powodu i zachęty do tych świątecznych hulanek, los nadarzył odwiedziny dwóch pierwszorzędnych gwiazd firmamentu międzynarodowego. Pierwszą był Jerzy I, król grecki; drugą Nasr-ed-Din, szach perski.

Pierwszy skromnie i poważnie przecisnął się, bez wielkiego hałasu na widnokręgu paryzkim: zwiedził wystawę, przyjął obiad galowy u prezydenta, zaszczycił swoją bytnością bal u prezesa rady ministrów. Drugi, który się zjawił w ostatnich dniach Lipca, — należy do mojej kroniki przyszłej z Sierpnia. Tutaj zapiszę tylko *pro memoria* przyjazd, który starano się otoczyć największą świetnością.

Po wylądowaniu 30 Lipca rano w Cherbourgu, gdzie szach był przyjęty ze wszelkiemi honorami odpowiedniemi dostojeństwu monarchy; pociąg specyalny,—dawniejszy, z czasów jeszcze Cesarstwa,—ale świetnie odnowiony, przywiózł go wieczorem na dworzec paryzki S-go Łazarza.—Tu, otoczony ministrami i świtą, czekał na Szacha prezydent Carnot. Pociąg składał się z dwóch wagonów salonowych, udekorowanych z wielkim przepychem, z wagonu sali jadalnej, z dwóch salonów, zwanych *de famille*, dwóch wagonów 1-ej klassy, i dwóch furgonów przeznaczonych na skład bagaży — w ogóle zatem z dziewięciu wagonów.

Na dworcu w Paryżu przygotowano salon przyjęcia z niesłychanym przepychem, przechodzącym owiele wszystko cokolwiek się praktykowało w tym względzie za czasów Cesarstwa. — Od dworca aż do ulicy Kopernika, gdzie najęto dla szachu piękny pałacyk, — niegdyś prywatny wielkiego fabrykanta cukrowni p. Pamard, a dziś należący do Banku Francuzkiego — wojsko tworzyło szpaler—powstrzymując z trudnością, tłum ludu cisnący się ze wszech stron.

W dziedzińcu dworca muzyka wojskowa zaintonowała hymn perski — dzieło jakiegoś Francuza, który jest kapelmajstrem Szacha. U wschodów zasłanych bogatym kobiercem, czekało wspaniałe odkryte lando, zaprzężone *à la Damant* o barwach perskich, białe z zielonem.

Spotkanie się Szacha i Prezydenta było bardzo serdeczne. Witany na każdym kroku z wielkim zapałem, od chwili, gdy stanął na ziemi francuzkiej, obsługiwany i uprzedzany we wszystkich swych chęciach, Nasr-ed-Din, był w złotym humorze — i po zwykłych wzajemnych prezentacyach z rozkoszą znalazł się w eleganckiem *landau*, zaprzężonem z całą poprawnością dżokejską.

W pierwszym powozie jechali Szach, p. Carnot, Tirard, prezes rady ministrów, i Nazdr-Aza, ambasador perski w Paryżu.

Za powozem szwadron gwardyi konnej paryzkiej — (gwardya ta składa się z doborowego żołnierza) tworzył eskortę, przeznaczoną już stale na służbę przy Szachu na cały czas jego pobytu w Paryżu. Reszta powozów,—a było ich pięć — tworzyła świtę dworu Nasr-ed-Dina.

Odprowadziwszy gościa swego do mieszkania, p. Carnot wrócił do siebie, — a w kilka chwil potem, Szach Perski, zmieniwszy odzienie, udał się z tąsamą paradą do Pałacu Elizejskiego, gdzie go spotkał na wschodach prezydent ze swoją małżonką—i po krótkiej rozmowie udano się do sali jadalnej, wspaniale zastawionej i ubranej w najświeższe kwiaty. — W sali tej czekał obiad, do którego przypuszczeni zostali ministrowie i wyżsi dygnitarze francuzcy i dworu Szacha Perskiego.

Przed zamknięciem tego listu jeszcze słówko o p. Meissonierze — o wystawie sztuk pięknych z powodu przyznanych nagród i t. d. i o p. Secrétanie z powodu sławnego obrazu Millet'a *Anioł Pański*.

Jest tu zwyczajem, że przysądzanie nagród wystawcom zostawione jest sądowi, który się składa z delegatów i kommissarzy rozmaitych sekcyi—i tworzy to, co się tu zowie „Jury“... Na tegorocznej wystawie w wydziale sztuk pięknych sąd ten podzielony został na jury trzech stopni: 1-sze z delegatów rozmaitych narodowości — 2-gie z tychże delegatów z dodatkiem kommissarzy—3-cie i ostatnie z członków wybranych w dwóch poprzednich klassach i stanowiące ostatecznie o przysądzonych nagrodach. — Sądy więc 1-ej i 2-ej instancyi są tymczasowe—i mogą być zmienione w 3-ej Instancyi. Wszystkie więc dotąd ogłoszone nagrody były obwieszczone przedwcześnie — chociaż mówiąc między nami — zostaną potwierdzone zapewne w 3-ej instancyi.

Każda z tych instancyi wyrokowała pod przewodnictwem p. Meissoniera — jako prezesa, wyznaczonego od rządu. — Ztąd taki gwar i takie powstanie przeciw niemu w dzienikach, z powodu, dziwnie dość przyznanych pewnych nagród w 2-ch pierwszych instancyach.

Francuzcy szczególnie artyści wystąpili bardzo ostro: Jury bowiem premiowanym już, a nawet dekorowanym Legią Honorową przysądzało naprzykład: medale 3-ej klassy, albo zaszczytną wzmiankę.—To tłómaczy, tak ważne nagrody jak owe przysądzone pp. Chełmońskiemu i Szymanowskiemu. — Nie są to francuzcy artyści, którzy je przysądzili, ale delegaci oddziału niefrancuzkiego, dla których nie ma rzeczy, którejby odmówić tu można, w tej chwili. Nie mówię tego, aby ujmował zalet naszym artystom, ale, aby dobitnie wskazać, że te nagrody nie są premiowaniem artystów, jako najcelniejszych z całej wystawy, lecz tylko jako celujących, w oddziale sztuk pięknych, danego państwa.

Wojna jednak skończy się spokojnie, czego dowodzi świeże małżeństwo strony napadniętej, Meissoniera.—Urodzony w 1813 r. znakomity ten malarz ma dziś lat 76; ale mu te lata nie przeszkodziły poślubić w tej chwili dwudziesto-kilko-letniej panny nazwiskiem: Elżbieta Besançon. Kiedy się lat tyle przeżyło w kawalerskim stanie, może to trochę zapóźno wchodzić w nowe a tak młode związki; ale artysta jest tak rzeźwy, ruchliwy, jak nigdy. — Życzmy mu więc porusińsku „Mnohaja lita“.

Doszła już do was wiadomość, jak się skończyła sprawa sławnego obrazu Millet'a: *Anioł Pański*.—Straszliwa reklama, którą Francuzi poprowadzili z mistrzowstwem im tylko właściwem — przyniosła pożądany skutek: Amerykanie, również biegli w tej sztuce, dali się złapać — i zapłacili pięć kroć kilkadziesiąt tysięcy za obraz, który, zdaniem wszystkich bezstronnych, nie wart nawet stu tysięcy franków! — Patryotyczne uczucie,

z którem tak się popisywano, była to przynęta dla młodych wróbli. — Najlepiej na niem wyszli p. Secrétan i jego wierzyciele.

Ciekawa jest historya tego amatora sztuk pięknych. Przed samą wojną 1870 r. był to mały fabrykant miedzianych i mosiężnych wyrobów. Mając do czynienia z miedzią, znał jej wartość i handlowy obrót a korzystał z niezmiernie zniżonej ceny, wskutek wojny, kommuny i t. d. Zakupił ogromną ilość metalu, a spekulując zręcznie, doszedł w lat kilka do tak ogromnej fortuny, że się stał jednym z głównych Członków Zakładu kredytowego — Comptoir d'Escompte — posiadaczem dwóch czy trzech pałaców w Paryżu, właścicielem sławnej galeryi obrazów i rzeźb, właścicielem *Angelusa* Millet'a — słowem: pewnym rodzajem milionowego chłopca. Skończył też jak w bajce. Chcąc ciągle grać na jednej strunie mosiądzu,—zużył ją zbytecznie. W ostatnich miesiącach zeszłego roku zahaczyli go bieglejsi jeszcze od niego spekulanci angielscy i amerykańscy. Upadł i w swym upadku pociągnął za sobą Comptoir d'Escompte i kilku kolegów. — Zakład kredytowy minister skarbu wydobył z biedy, — ale Secrétan i spółka poszli na dno. Ztąd sprzedaż zbiorów i powrót do dawnego rzemiosła.

γ

---

# PRZEGLĄD TEATRALNY.

## LXXVI.

**Fernanda,** komedya w 4 aktach, Wiktoryna Sardou — w Teatrze Letnim.
**Hulaj dusza!** fantazya sceniczna, w 8 obrazach, z tańcami i śpiewami, osnuta na podaniach ludowych przez A. Walewskiego; muzyka A. Urbanka—w Wodewilu.

W dwadzieścia kilka lat po wystawieniu w Paryżu ujrzeliśmy *Fernandę* i u siebie. Po tylu latach niewidzenia mogliśmy jej wcale już nie oglądać, ale gdy nam patrzeć na nią dano, patrzyliśmy z zajęciem. Sardou ma teraz u nas wielu przeciwników, bo krytykowanie sztuki ze stanowiska moralności wchodzić zaczyna w modę; jego *Fernandę* zbezczeszczono, z błotem zmieszano, i znowu z tychsamych prawie pobudek, jak *Odwiedziny* Brandesa. W obu sztukach upatruje czysta moralność cyniczną dążność do usprawiedliwienia kobiety upadłej, a ośmielenia mężczyzny do grzesznej pobłażliwości i zaprzania się męzkiego honoru. Ma to być niby rozprowadzany dalej, w innych tylko kształtach, nieco łagodniejszych, ale równie sofistycznie naciąganych, temat „damy kameliowej". Czy kobieta nieuczciwa może być żoną człowieka uczciwego? — to pytanie kapitalne; bo że jest zawsze i w każdym razie nieuczciwą, jeśli tylko nie umiała przebyć ślizgawicy bez upadku — to rzecz pewna. Otóż Sardou na to pytanie daje odpowiedź twierdzącą. Andrzej d'Arcis, pojąwszy kobietę, którą uważał za przecudny kwiat boży, później, już *en connaissance de cause*, odwołuje wyrok wygnania i przyciska miłośnie do piersi, już nie kochankę, nie oblubienicę, nie żonę w pierwszych tygodniach po ślubie, ale najdroższą na całe życie towarzyszkę. Podobnie, ale nie tak samo, bo chłodniej, postąpił i Neergard w *Odwiedzinach*. Obaj autorowie, Francuz i Duńczyk, stają przed sądem krytyki skuci jednym łańcuchem. O, jakże się ze strachu trząść muszą!

Pisałem już i o *Odwiedzinach*, i o specyalnie warszawskiej moralności i idealizmie, w których ta sztuka święte poruszyła gromy. Teraz słówko o *Fernandzie*. Sztuka nie należy do rzędu najlepszych zdolnego Francuza. Akt jej pierwszy jest zupełnie niepotrzebnym. Postać tytułowa przez złe zarysowanie się w tym właśnie akcie nie może mieć w następnych tego tonu, jakiego autor w niej domniemywać się każe. Fernanda, zamiast tragicznie mocować się z przeznaczeniem, występującem jako konkretna konieczność upadku, przejawia się raczej jako wspólniczka swej matki w utrzymywaniu potajemnego domu gry, biesiad i zabaw. Cały ten dom jest tylko dostawiony, a skoro już autor chciał koniecznie dać Fernandzie rodowód z tej sfery nieczystej, mógł był poprzestać na opowiadaniu, tem więcej, że pomimo całego sprytu swego nie zrobił posiedzenia szulerskiego dość zajmującem, żywem, charakterystycznem, a to jedno tylko mogło nadać aktowi pierwszemu potrzebną legitymacyą. Ale nie Fernanda jest bohaterką sztuki: jest nią kobieta kochająca d'Arcis'a, lekkiego sowizdrzała, w poważniejszych już latach, a zemsta tej kobiety stanowi właściwy temat dramatu. Nie Fernanda, ale Klotylda, wdowa, po trzech latach nareszcie zaręczona z kawalerem lekkiego życia, powinna była nadać tytuł sztuce. Na nią skupił promienie swego talentu Sardou i zrobił z niej postać rzetelnie dramatyczną, od początku aktu II aż do końca zajmującą. Krytyka ścisła przedewszystkiem ten plan w budowie sztuki dostrzedz i stwierdzić ma obowiązek. Sama bierność Fernandy, którą autor chciał może uczynić tylko lękliwością niezepsutej duszy, dźwigającej na sobie brzemię odczuwanej ustawicznie winy, — nie pozwala jej być bohaterką; a gdyby nawet Fernanda była bardziej czynną, niż jest, to i wtedy jeszcze charakter Klotyldy, w którym uczucie zemsty przejawia się z demoniczną iście potęgą, pomysłowością i bogactwem form oryginalnie zespolonych — musiałby ją wyparować ze stanowiska głównej osobistości w sztuce. Podstęp w akcie II wobec naiwnie spowiadającego się jej d'Arcisa, zaciętość w akcie III, zakończona gwałtownem szamotaniem się z kuzynem Pomerolem, — ze stanowiska, nie moralności, ale sztuki dramatycznej, są momentami głęboko wzruszającemi i każdy starszy nawet dramaturg może ich śmiało pozazdrościć p. Wiktorynowi.

Prawy, dzielny charakter męzki mamy w Pomerolu, krewnym Klotyldy, adwokacie z powołania. Sardou pozwolił tylko sobie z nim pewnej, dogodnej dla siebie, ale niezupełnie pożądanej dla widza, kombinacyi: wysyła go na Korsykę w chwili najkrytyczniejszej, właśnie wtedy, kiedy sprężysta jego wola mogła ocalić nietylko biedną dziewczynę od hańby, ale i kawalera d'Arcis od niewłaściwego małżeństwa. Naciągniętem jest pisanie listu p. Fernandę i pozostawienie go w rękach Klotyldy na to, aby go później Pomerol mógł jej wydrzeć w bardzo silnej, gwałtownej scenie. Niedostatecznie samą treścią dyalogów usprawiedliwił Sardou bierne poddanie się d'Arcisa pod kierunek porzuconej a mszczącej się na nim kobiety na cały czas przed ślubem. Nieszczęścia wreszcie pani Senechal-Brionne, sofistycznie splątane, nie wzbudzają wiary w to, w co właśnie musi uwierzyć Klotylda, aby jeszcze przed postanowieniem zemsty mogła zająć się losem obu kobiet.

Kawaler d'Arcis ma wydatną charakterystykę — i równie jak inne osoby dramatu stoi o własnej sile, z zupełną prawdą życia. Przysłanie wieńca ślubnego narzeczonej jest pięknym a dramatycznie doniosłym pomysłem. Wianek wyzywa biedną dziewczynę do smutnej spowiedzi z życia, potrzeba zaś udramatyzowania mściwości przyobleka ją w formę listu, który przeznaczenia swego nie dochodzi. Na żywe słowo spowiedź czeka aż do czwartego aktu, ale tu znowu więcej robi Pomerol jako *spiritus rector* dla przejednania serc i pogodzenia rzeczowych przeciwieństw, niż sama Fernanda. Zemsta Klotyldy rozbija się o moc przebaczenia, którego wszakże Sardou bynajmniej nie stawia jako zasady nakazującej, w rodzaju Dumasa. Cała sztuka jako walka uczuć sprowadza się ostatecznie do przewagi miłości nad mściwością.

Fernandą była p. Wisnowska — Fernandą drewnianą. Na dalszych przedstawieniach było podobno lepiej, ale na pierwszem skromne minki, sztuczne nieśmiałości, niemrawa bierność zastępowały rzetelną czystość a w danem położeniu konieczną bojaźliwość duszy porażonej nieszczęściem. Prawdziwa dramatyczna bohaterka, Klotylda, znalazła przedstawicielkę zupełnie na wysokości zadania stojącą, w pannie Noiret. Chwilami, zwłaszcza na torturach serdecznych w akcie II, rola wzruszała do łez. Doskonała mimika sama już wystarczała do zaznaczania ruchu dramatycznego, a w żarze namiętności, tłumionej czy wybuchającej, więcej charakterystyczna, niż piękna, twarz artystki od światła bijącego z duszy jaśniała już prawdziwym urokiem piękności. P. Leszczyńskiemu (Pomerol) przeszkadzało to, co mu najczęściej nie pomaga: zapominanie roli; ale i pojęcie i ton najzupełniej odpowiadały woli autora. P. Ładnowski jako Andrzej d'Arcis nie uderzał, ale też i nie raził: rola wyszła poprawnie, w zakończeniu — nawet z siłą.

Podanie o Twardowskim ułożył p. Adolf Walewski, autor *Koników polnych* w fantazyą scenicznej *Hulaj dusza!* Toczono już zacięte walki o tę fantazyą; szczerze mówiąc, walczyć nie było o co. Sztuka p. Walewskiego ma wartość przeważnie kassową dla teatru prowincyonalnego, który ją wystawił. Jej wartość literacka nie może być przedmiotem najlżejszych choćby dociekań i sporów. Utwór jest galeryą obrazów obok siebie pozawieszanych, a na te obrazy poetyczność dramatowi właściwa nie bardzo się wysiliła. Przy pomocy muzyki kilkanaście kupletów przez arcy-dyabła w piekle śpiewanych a satyrą współczesności zaprawionych, — zresztą przyzwoitych, co się dziś w kupletach rzadko zdarza, — chór żaków rozbijających garnki pani Twardowskiej, dziwactwo z babą przemłodzoną pod stołem w dzieciaka, podanie Giżanki za Barbarę Zygmuntowi Augustowi, scena w Rzymie, a przed tem wszystkiem miłość dla Hanny, poświęcona dla walki z Tatarami: te są wybitniejsze momenta sztuki. W obrazie trzecim przedstawia p. Walewski piekło, i to się publiczności najwięcej podoba. Okazała postać artysty grającego Lucypera, jego twarz, głos i strój — wiele się do powodzenia tego piekła przyczyniają. Nie braknie też i humoru, jak hetmanowi piekielnemu, tak i jego wojsku. Nieustające prawie światło elektryczne podnosi uznanie publiczności dla sztuki, która rzeczywiście zrobiła Wodewilowi kassę, co mu się już po wszystkich niepowodzeniach tegorocznych należało. Cały zawód dyabelski Twardowskiego dla uczczenia prawdy p. Walewski w ostatnim obrazie nakazuje uważać za senne tylko widzenie. Ostatecznie szlachcic żeni się i z zaprzedanego dyabłu stanie się pewno zaprzedanym pięknej Hannie.

Podanie o Twardowskim czeka jeszcze na polskiego Goethego. Tylko niech ten polski Goethe nie trzyma się za poły naszych badaczów historycznych, którzy tak budowali, tak piętrzyli jedno na drugiem, że aż w końcu zburzyli samo podanie.

*Stanisław Krzemiński.*

---

# Kronika działalności kobiecej.

— Warszawska rada miejska dobroczynności publicznej przyjęła zapis testamentowy ś. p. Anny Koszutskiej, przez który testatorka przeznaczyła dla Domu Schronienia Nauczycielek 1000 rs., dla Biura Nędzy wyjątkowej 1000, dla ochrony imienia Jachowicza 500 rs., dla Przytułku Paralityków 100 rs.

— Dentystka, Zofia Gutzman, zaczęła praktykować w Warszawie przy ulicy Zgoda Nr 4.

— P. Henryka Mankiewiczowa z Wiednia przesłała na wystawę paryzką sześć obrazów gobelinowych, wykonanych po części igłą, po części pendzlem, a przedstawiających krajobrazy morskie w oświetleniu księżycowem. Nadesłane za późno, nie mogły być pomieszczone w oddziale sztuki: w *Palais des Arts libéraux*, przecież komissya wystawy a szczególniej p. Antoni Proust, nie chcąc odrzucać rzeczy bardzo pięknej, umieścił ją w oddziale austryacko-węgierskim, gdzie ściągnęła na siebie taką uwagę, że krytyka paryska podniosła estetyczną jej wartość i urzędowy organ wystawy: „Le bulletin officiel", za-

mieścił w numerze z d. 26 Czerwca trzy szpalty obejmujący artykuł pod tytułem: „Tableaux brodés de M-me Henriette Mankiewicz“, gdzie wykazując obok nowości pomysłu, artystyczną piękność wykonania, doskonały rysunek i koloryt, objawia zdanie, że haft tego rodzaju, połączony z malowaniem, może mieć w sztuce dekoracyjnej zastosowanie bardzo rozległe.

— Bertá Talbotier, młoda panna, nauczycielka z zawodu, złożyła w Paryżu urzędowy egzamin z perskiego i tureckiego języka—pierwsza kobieta we Francyi, poświęcająca się studyowaniu języków wschodnich.

— Prawo głosu w izbie handlowej dla kobiet, prowadzących przedsiębierstwa przemysłowe, przeszło przez francuzką Izbę Deputowanych.

— Rząd Belgijski, regulując warunki pracy robotników, obwarował pracę kobiet szczególnemi przepisami, których niezachowanie sprowadza na zarządy fabryk, warsztatów i zakładów tym podobnych, odpowiedzialność karną. Praca kobiet w kopalniach została całkowicie zabronioną; praca nocna w fabrykach jest również niedozwoloną, a z pierwszym dniem 1892 r. ogłoszonem zostanie prawo, określające szczegółowo czas i warunki pracy dziewcząt, niemających lat ośmnastu. Kobieta, zostająca matką dopiero po upływie czterech tygodni od czasu urodzenia się dziecka może być do roboty fabrycznej przyjęta. Wszystkie kobiety, młodsze i starsze, podobnie jak dzieci i młodzież niepełnoletnia, tylko sześć dni na tydzień pracować mogą. Dziewczęta, równie jak chłopcy, nie mogą być przyjęte do pracy w fabrykach, w warsztatach, przed skończeniem lat dwunastu. Praca w gałęziach przemysłu niebezpiecznego jest zabroniona dzieciom płci obu do lat 16. Tak dziewczętom, jak chłopcom od lat dwunastu do szesnastu, dozwala się pracować dziennie tylko godzin dwanaście z odpoczynkiem południowym, najmniej półtorej godziny; nieliczące lat piętnastu skończonych nie mogą być przyzywane do roboty wcześniej, niż o godzinie 5-tej rano, ani przeciągać jej poza 9-tą wieczorem.

— W Sztokholmie istniejące stowarzyszenie niewieście: „Związek kobiet imienia Fryderyki Bremer“, należy do bardzo pożytecznych i naśladowania godnych instytucyi. Jednem z jego zadań jest przychodzić z pomocą kobiecie w tem, co jako niewiadomość, pochodząca czy z braku wyższego oświecenia, czy z nieznajomości stosunków życia i jego położeń rozmaitych, może stać jej się stratą lub nieszczęściem. Biuro Stowarzyszenia, otwarte codziennie od godziny 11-tej przed południem do 4-tej popołudniu, udziela zgłaszającym się kobietom porady prawnej, lekarskiej i ekonomicznej; powiadamia o wszelkich pożytecznych stowarzyszeniach, zgromadzeniach i zakładach w kraju i zagranicą; pośredniczy między szukającemi pracy a pracodawczyniami w rozmaitych kierunkach, daje objaśnienia co do treści i wartości dzieł świeżo wychodzących i książek z zakresu literatury dla młodzieży. Stowarzyszenie przyjmuje prenumeratę na rozumne i w szlachetnym kierunku prowadzone czasopismo dla kobiet: „Dagna“ (Jutrzenka) i tym podobne uczciwe i pożyteczne wydawnictwa literackie lub naukowe; prowadzi też pewnego rodzaju kantor stręczeń w zakresie dobroczynności, którą pragnie tak kierować, aby lenistwo lub chciwość, pod maską ubóstwa żebrząca, nie zabierała grosza należnego prawdziwej niedoli.

Stowarzyszenie liczy 1.381 członków; w 1888 r. zwracało się do stowarzyszenia w sprawach rozmaitych 1.361 osób, zpomiędzy których otrzymało potrzebną im radę lub objaśnienie 503. Pracy szukało tu 524 kobiet; dających pracę zgłosiło się do kantoru 514: nauczycielek i bon, kassyerek, kantorzystek i uzdolnionych do prowadzenia ksiąg handlowych, tłómaczek, pisarek, panien i pań do towarzystwa, gospodyń, pilnowaczek osób chorych. Z tych za pośrednictwem Stowarzyszenia otrzymało pracę 215.

Stowarzyszenie rozrządzało w roku ubiegłym dwoma stypendyami: Z tych jedno otrzymała młoda panna, kształcąca się na nauczycielkę, kandydatka filozofii, Wilhelmina Olson, na ukończenie studyów; drugie przeznaczone dla lekarki chorób kobiecych, nie zostało w ciągu 1888 r. przyznane nikomu, lecz w bieżącym już roku 1889 otrzymała je Ewa Djurberg, także dla ukończania nauk w zakresie swego zawodu. Stowarzyszenie rozpisało konkurs na rozprawę: „Domowe wychowanie dziewcząt“ i w dniu 1-go Października ubiegłego roku przyznało nagrodę Jadwidze Haglund z Norköping. Rzecz była drukowana w *Dagnie*, a odbitki tworzące książkę, rozesłano wszystkim członkom *związku Fryderyki Bremer*.

Patronka, jaką sobie obrało Stowarzyszenie, Fryderyka Bremer, była nietylko wielce utalentowaną, szlachetnego natchnienia pisarką, znaną i u nas, bo wiele jej przewybornych powieści posiadamy w przekładzie, ale kierunek jej pojęć o kobiecie i jej przeznaczeniu podniosły i rozumny, był takim, jakiego pragnąć trzeba dla postępu kobiety—takim, jaki u nas na przykład, przedstawiała Tańska, a następnie Żmichowska: obok umysłu rozjaśnionego przez wiedzę, nienaruszone cnoty czystego życia, obracającego się w zakresie kobiecego przeznaczenia wśród rodziny i narodu. Talentem może niższa od Sand, ale wyższa od niej o całą zasługę uczciwego, niesplamionego istnienia i przykładu, jakim powinien być kierunek postępu kobiety, Fryderyka Bremer ma w panteonie niewieścim takie miejsce, że stowarzyszenie jej imienia nie odstrasza od siebie tych, którzy cofają się od tak zwanych „emancypantek“, jakkolwiek, żąda ono dla kobiety nawet prawa głosu najpierw do rad gminnych, dalej do parlamentu. Kobieta jest obywatelką, ma w piersi serce, które bije dla szczęścia i potęgi swego społeczeństwa i, jeżeli matka rodziny, jeżeli mężatka pilnująca domowego ogniska, jest już związana temi wielkiego znaczenia obowiązkami, samotna a zdolna stanąć w szeregu tych, którzy rozumieją interesa i potrzeby swego kraju, dlaczegoby nie miała wnieść tu swego głosu?

— Giusepina Cattani, w ubiegłym roku mianowana professorem patalogii na uniwersytecie w Bolonii, miała bardzo licznych słuchaczy. Oprócz wolno słuchających uczęszczało na jej prelekcye 500 studentów.

— Linda Villari, córka włoskiego professora i historyka Paskala Villari, przełożyła na język angielski dzieło swego ojca: „Życie i czas Girolama Savonaroli“ czyniąc to głównie z przywiązania do ojca i dbałości o jego sławę. W tym celu uczyła się pracowicie języka angielskiego.

— Baronówna Cantoni z Medyolanu, panna bardzo bogata i wielkiej urody, licząca lat dziewiętnaście, sierota usamowolniona, przedsięwzięła podróż do wnętrza Afryki. Orszak licznej służby męzkiej i żeńskiej towarzyszyć jej będzie pod naczelnem dowództwem pułkownika Camperio; oprócz tego młoda podróżniczka mieć będzie obok siebie krewną, dojrzałego już wieku panią, należącą do sfer arystokracyi austryackiej. Karawana wyruszy w drogę d. 1 Listopada; najpierw zwiedzą Aden, Massawę, następnie zapuści się w głąb' Afryki. Podróż ma trwać rok.

— Królowa Małgorzata włoska była pierwszym głosem, który powitał Edisona w Paryżu. Otrzymała ona poprzednio od Edisona w darze fonograf, którego użyła teraz, przesyłając mu do Paryża fonogram, który się odezwał do niego z fonografu, umieszczonego na wystawie: „Kobiety wszystkich krajów, winny są panu wielką wdzięczność za to, żeś im dał możność słyszenia głosu ukochanych a dalekich osób“.

— Śmierć marszałkowej Canrobert wywołała wyraz żalu we wszystkich francuzkich pismach wszelkich stronnictw, bo była to kobieta szlachetnego serca i wyższego umysłu, a głównie odznaczała się gorącem uczuciem patryotyzmu, który stał jej swatem i zawiązał pierwszy węzeł między nią i marszałkiem po powrocie jego do Paryża z wojny krymskiej. Z rodziny szkockiego pochodzenia, piękna Flora Mac Donald, była wtedy panną honorową cesarzowej, gdy zwycięzka armia Francyi wróciła z Krymu, a Canrobert, jej wódz naczelny po śmierci marszałka Saint-Arnaud, jaśniał sławą rycerską dobrze ojczyźnie zasłużonego rycerza. Spotkali się na balu w Tuilleries. Flora Mac Donal, wysoka, szczególniej kształtnej kibici, uważana za najpiękniejszą pannę z dworu cesarzowej, której nie mogło brakować tancerzy, a przytem znana z wielkiej dumy i powagi, niedopuszczającej zalotności, pierwsza podeszła do Marszałka i poprosiła go do tańca. Lecz rycerz umiał walczyć, ale nie umiał tańczyć i zmieszany zwrócił się do swego adjutanta z żądaniem, aby go zastąpił, a skłaniając się nizko przed piękną panną, rzekł:—„W tej chwili marszałek Francyi zazdrości miejsca podporucznikowi“... Zamienione przytem spojrzenie dopowiedziało reszty, a cesarzowa Eugenia, którą wiązał stosunek dawnej znajomości z rodzicami jej honorowej panny, stała się tu swatką i rzecz zakończyła się małżeństwem, bardzo szczęśliwem, bo piękna panna była dobrą i rozumną kobietą, oddaną mężowi i wychowaniu dzieci, których nauki osobiście dozorowała. Tak zajęta w rodzinie, nie mieszała się z lekkomyślnym wirem życia dworu cesarzowej Eugenii, zwłaszcza, że marszałkowa była kobietą utalentowaną, a muzyka i malowanie stanowiły dla niej zajęcie tak miłe, iż starczyło jej to do zapełnienia chwil wolnych od pracy uczciwej i spełnianych obowiązków żony, matki i kobiety dobroczynnej. W tym ostatnim kierunku zasługi jej były wielkie i stanowiły już zasługę publiczną, którą podnosi teraz wysoko prassa francuzka. Choroba, na którą umarła, była bardzo bolesną i długą; ze względu na męża, dzieci i matkę sędziwą, kryła się z cierpieniem bohatersko i teraz dopiero służba jej wydaje, jak ciężkie, a przecież w cichości spędzane były jej noce.

— Akademia francuzka w dziale literackim przyznała dwie nagrody kobietom. Jedną z nich, nagrodę poezyi, otrzymała młoda Rumunka, M-le Varesco, córka posła rumuńskiego przy dworze belgijskim, za tom poezyi pod tytułem: „Chants d'Aurore“; drugą otrzymała Marya Drousart za dzieło krytyki literackiej.

---

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 10-ty powieści pod tytułem **O Własnej Mocy** przez J... B... Ed...

---

**TREŚĆ:** Pogawędka. — Kongressy kobiece na Wystawie Paryzkiej. — Sąsiedzi, obrazek współczesny, napisała Zbigniewa Zmorska.— Nowiny Paryzkie. — Przegląd teatralny. — Kronika działalności kobiecej.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 9-ty powieści pod tytułem: O własnej mocy, przez J... B... Ed... — Przegląd mód. — 16 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава 30 Августа 1889 года.